

NIE WOLNO SKŁADAĆ OBIETNIC, KTÓRYCH NIE MOŻNA DOTRZYMAĆ.

PSYCHOLOG

AUTORKA POWIEŚCI *JEJ STALKER!*

LILY WHITE



Tytuł oryginału

The Five

Copyright © 2019 by Lily White

All rights reserved

Copyright © for Polish edition

Wydawnictwo NieZwykłe Zagraniczne

Oświęcim 2022

Wszelkie Prawa Zastrzeżone

Redakcja:

Katarzyna Zapotoczna

Korekta:

Maria Kąkol

Karolina Piekarska

Redakcja techniczna:

Paulina Romanek

Projekt okładki:

Paulina Klimek

www.wydawnictwoniezwykle.pl

Numer ISBN: 978-83-8320-091-0

LILY WHITE

PSYCHOLOG

TŁUMACZENIE
EMILIA NIEDZIELSKA

OŚWIĘCIM 2022

Nota autorska

Celem niniejszej książki jest wyłącznie zapewnienie czytelnikom rozrywki. Powieść porusza dość brutalne tematy, jak przemoc i morderstwo. Osobom wrażliwym zaleca się czytanie z zachowaniem szczególnej ostrożności.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Justin – teraźniejszość

Była zwyczajną młodą kobietą. Dziewczyną o jedwabistych brązowych włosach, zwichrzonych i długich. Ich końce omiotły jej plecy, kiedy odwróciła się, aby spojrzeć w kamerę. Była zdenerwowana, czemu nie należało się dziwić, i nie wiedziała, co zrobić z rękami. Ułożone na kolanach, drżały, a palce poruszały się, jakby grała na pianinie. Uniosła ręce i położyła je na stole. Nie przestawały drżeć. Ciągłe w ruchu. To była pierwsza rzecz, na jaką zwróciłem uwagę.

– Nagranie trwa około czterech godzin. Śledczy nie był w stanie wydobyć z niej zbyt wiele. Myślę, że... no cóż, śledczy uznał, a ja się z nim zgadzam, że coś z nią jest nie tak.

Zerkając na ekran, przeglądałem pobieżnie ogromną liczbę raportów i fotografii z brązowej teczki, którą kilka minut wcześniej wręczył mi detektyw Grenshaw. Na stole w pokoju narad leżały porozrzucane torebki z dowodami w sprawie śledztwa dotyczącego wyjątkowo nieudanej imprezy. Nie przejrzałem jeszcze wszystkich materiałów ani nie zdążyłem zapytać o szczegóły. Najpierw chciałem przyjrzeć się chłodnym okiem mojemu obiektowi badań.

– Niezła z niej ślicznotka, co? W Clayton Heights nie widuje się zbyt często takich dziewczyn.

Grenshaw był typowym gliniarzem z seriali telewizyjnych. Miał niski, zachrypnięty głos i bystre spojrzenie – człowiek zahartowany latami spędzonymi na prowadzeniu spraw o mor-

derstwo w miasteczku pół godziny jazdy na południe od Chicago. Pierwszym, co rzuciło mi się w oczy, był jego brązowy garnitur, który wyglądał na tani. Z rodzaju tych, które można znaleźć na zakurzonej półce z przecenami w sklepie z używanymi ciuchami. Nie byłbym zdziwiony, gdyby po przekimaniu w takim sztywnym dziadostwie budził się cały obolały. Ale nie moja sprawa.

Życie detektywów z wydziału zabójstw nie było łatwe w czasach, kiedy odsetek przemocy z użyciem broni stale rósł, a ponad czterdzieści procent spraw umarzano. Clayton Heights. Znałem je, ale tylko ze słyszenia. Była to jedna z tych dzielnic, do których nigdy nie jeździ się celowo. Jeśli już człowiek znalazł się tam, bo skręcił w złą stronę, nigdy nie należało zatrzymywać się na czerwonym świetle. Po prostu trzeba było jechać dalej. Lepszy mandat niż bandycki napad czy kradzież samochodu.

Podzielałem opinię detektywa odnośnie do kobiety na ekranie. Jak na mieszkankę tak niebezpiecznej dzielnicy, była zbyt subtelna. Miała delikatne rysy, niepewne spojrzenie. Wszystko w niej krzyczało: *jestem ofiarą*.

– Jak myślisz, jak udało jej się przeżyć w takim miejscu?

– Możemy sobie tylko gdybać, ale jak już miałbym zgadywać, to na podstawie raportów toksykologicznych...

Podnosząc rękę, powiedziałem:

– Nie, nic nie mów. Chcę obejrzeć nagranie bez zaglądania w karty. Będzie lepiej, jeśli sam znajdę przyczynę tego, co ty i twój partner określicie słowami „coś z nią nie tak”.

Skórzany pasek zaskrzypiał pod jego brzuchem, który zapewne pochłonął niejedną pizzę, przesłodzoną kawę i gotowe ciastka z supermarketu, gdy detektyw siedział zgarbiony nad biurkiem do późna w nocy. Nie zazdrościłem mu wykonywanego zawodu. Przyglądanie się śmierci każdego dnia musiało się odbijać na jakości życia.

– Tak jak powiedziałem: nagranie trwa około czterech godzin. Byłem obecny podczas nagrywania, więc nie ma sensu, żebym je oglądał. Zrób swoje, a zanim pojedziesz do domu pani Day, zajrzyj do mojego biura. Może być?

Nie patrząc na niego, machnąłem mu ręką. Moją uwagę zwróciło zachowanie dziewczyny, kiedy do pokoju w końcu weszli dwaj śledczy. Wydawała się bardziej przestraszona niż defensywna, postukała palcami prawej dłoni w zamię tuż pod zgięciem lewej ręki. Raczej odruch niż zamierzony dotyk. Zmrużyłem oczy, nie mogąc dojrzeć co to jest. Zanotowałem to w moim żółtym notesie, rozsiadłem się wygodnie na krześle, oparłem lewą stopę o prawe kolano, pstryknąłem długopisem i odłożyłem go na bok.

– Pani Day – zaczął śledczy bez marynarki, z rękawami koszuli podwiniętymi do łokci i rozpiętym kołnierzykiem. Zegar na nagraniu wskazywał drugą trzydzieści pięć w nocy. Biorąc pod uwagę tak późną porę, w ogóle mnie nie dziwiło, że pozwolił sobie na tak nieformalny wygląd. – Nazywam się Leonard Drake. Mojego partnera, Timothy’ego Grenshawa, już pani poznała. Chcielibyśmy zadać pani kilka pytań dotyczących imprezy, na której zabito pani czworo przyjaciół.

Jedno mrugnięcie powiekami, które, podobnie jak dłonie, drżały. Jej długie rzęsy były jak ciemnobrązowe wachlarze, odznaczające się na bladej, prawie przezroczystej skórze. Wokół oka i tuż nad kością policzkową widniał czerwony siniak; wraz z upływem dni zmieni kolor na ciemniejszy. Jedno mrugnięcie. Tylko jedno mrugnięcie po tym, jak usłyszała, że czwórka jej przyjaciół nie żyje.

Jakby nie rozumiała, co się do niej mówi, albo była w szoku, albo męczyło ją poczucie winy, przez co całe to przesłuchanie traciło sens.

– Pani Day, niech mi pani powie coś ciekawego. Jak to się stało, że wszyscy pani przyjaciele zostali brutalnie zamordowani, a pani przeżyła, by móc o tym opowiedzieć?

– Co chcielibyście wiedzieć?

Uniosłem brwi ze zdziwienia na dźwięk jej głosu, niskiego i zachrypniętego, jakiego można by się spodziewać u kobiety obsługującej sekstelefon. Ale ta dziewczyna nie była zdesperowaną samotną matką z niemowlęciem na biodrze, która jednocześnie zachęcała dzwoniącego, aby nie przestawał robić jej dobrze. Nie, głos Rainey Day był całkowicie naturalny. Pełne usta rozchylały się na słowa, wypowiedane z odrobiną strachu, przesyconego toksyczną mieszanką nerwowości i zaniepokojenia. Spodziewałem się głosu raczej wyższego, bardziej zdesperowanego i domagającego się uwagi.

Nie zwracałem uwagi na zadawane pytania ani na udzielane odpowiedzi. Później, po tym, jak sam z nią porozmawiam, jeszcze raz włączę nagranie i wysłucham tego, co mówi. Nie chciałem, aby moje myśli były zanieczyszczone informacjami, które teraz są od niej wyciągane.

Moją uwagę przykuło jej zachowanie podczas przesłuchania przez dwóch nieustępliwych śledczych w pokoju pełnym luster. Ani razu nie spojrzała na swoje odbicie. Zanotowałem to. Większość ludzi nie może się powstrzymać i od czasu do czasu zerka na swoje odbicie w lustrze. Oznaczało to, że czuła się dobrze w swojej skórze, nie martwiła się o to, czy nie ma potarganych włosów, czy nie rozmazał jej się fluid na policzku. Zresztą z makijażu niewiele zostało. Rozmowę nagrano tuż po wypisaniu jej ze szpitala.

Spauzowałem nagranie i otworzyłem teczkę leżącą na stole. Odłożyłem na bok raporty i zacząłem przeglądać zdjęcia z miejsca zbrodni. Przedstawiały to, czego można się spodziewać po usłyszeniu, że cztery osoby zostały załuczone na śmierć. Rozpryski krwi na ścianach. Kałuże krwi na podłodze.

Jedna osoba leżała na kanapie. Twarz dziewczyny była zmiażdżona, za to jej ciało pozostało w większości nietknięte. Po przeciwnej stronie salonu leżał krępy mężczyzna o ramionach osiłka,

jak określiłaby to moja babcia. Po budowie mężczyzny można było przypuszczać, że w jego żyłach płynęła krew dobrych, starych Irlandczyków. Musiał ważyć co najmniej trzydzieści kilo więcej niż pani Day. Największe obrażenia miał z tyłu głowy. Zmiażdżona czaszka uwidaczniała tkankę mózgową. Jak osoba rozmiarów pani Day byłaby w stanie obezwładnić takiego osiłka?

Wcisnąłem *play* i obserwowałem jej ruchy. Wnioskując po tym, jak się krzywi, gdy pochylała się w lewo, bolał ją lewy bok. Prawe przedramię i goleń miała owinięte bandażem. Dolna warga była spuchnięta z powodu rozcięcia po prawej stronie, na szczęcie widniał kolejny siniak. Z tego, co było widać, jej też się oberwało.

Zajrzałem do raportu policyjnego i przeczytałem, że została znaleziona nieprzytomna; była przywiązana do łóżka w sypialni na pierwszym piętrze i krwawiła z rany z tyłu głowy. To wyjaśniało duży kołtun, jaki zauważyłem w jej włosach.

Ostatnie zdjęcie przedstawiało dwie nagie osoby, które znaleziono w sypialni na piętrze. Mężczyzna z roztrzaskaną głową leżał na łóżku. Kobieta była oparta o ścianę. Jej twarz była zmasakrowana, a reszta ciała, podobnie jak w przypadku dziewczyny na dole, była w większości nietknięta.

Ciekawe. Wyłączyłem odtwarzacz. Dziewczyna, którą przesłuchiowano, była niespełna rozumu, albo też los poskąpił jej intelektu. Może to sprawiało wrażenie, że „coś z nią nie tak”. Robiła powolne ruchy, ale zgadywałem, że ośpiała była tylko pozornie, bo wydawało się, że jest nad wyraz świadoma tego, co się wokół niej dzieje.

Najbardziej zdumiewało mnie to, że nie wyglądała jakby przeżyła się śmiercią swoich przyjaciół, chociaż to również można było wytłumaczyć szokiem po doświadczonej przemocy. Najlepiej będzie porozmawiać z nią w jej domu. W znanym sobie otoczeniu będzie bardziej zrelaksowana, a poza tym może zdołała już trochę przetrwać wspomnienia o tym przykrym wydarzeniu.

Zebrałem papiery do teczki, wyciągnąłem płytę z odtwarzacza i poszedłem odmeldować się do biura Grenshawa.

– No i? – Spuścił pospiesznie nogi z biurka, aż drewniane krzesło pod nim zaskrzypiało. Zdjął okulary w drucianych oprawkach, które były za małe w stosunku do twarzy, i rzucił je tam, gdzie przed chwilą spoczywały jego nogi. – Co myślisz o naszej dziewczynie?

– Rzeczywiście „coś z nią nie tak”, ale nie jestem pewien, czy to ona ich zabiła. – Chciałem jak najszybciej pojechać do jej domu, więc zamiast wejść i usiąść, tylko oparłem się ramieniem o framugę drzwi. – W jaki sposób tak drobna dziewczyna mogłaby obezwładnić cztery osoby? Zwłaszcza dwóch mężczyzn. Ten na dole...

– Michael Higgins – odpowiedział Grenshaw.

– Jak zdołałaby go tak załatwić, nie alarmując przy tym połowy okolicy? Przecież musiał krzyczeć.

Grenshaw oddychał głośno przez nos, po czym zrobił głęboki wdech i pokręcił głową.

– Nie mam, kurwa, pojęcia. – Potarł grzbiet nosa, jego ruchy wskazywały na zmęczenie. – Nie jestem pewien, czy ma z tym coś wspólnego. Chcemy ją po prostu wykluczyć. Dowiedzieć się dokładnie, co wie. Póki co nie powiedziała nam nic przydatnego.

– Co może być wynikiem szoku.

Grenshaw uniósł brwi.

– Może i tak. Dlatego wezwano ciebie, żebyś z nią pogadał.

Kiwając głową, spojrzałem na zegarek.

– Mam dwadzieścia minut, żeby dojechać na spotkanie do jej domu.

– Daj mi potem znać, co i jak.

– Jasne.

Machając ręką na odchodne, byłem więcej niż gotowy, aby usiąść i spokojnie porozmawiać z panią Rainey Day – niewątpliwie piękną kobietą, której nie tylko udało się egzystować pięć lat

w niebezpiecznej dzielnicy, ale także przeżyć atak niepoczytalnego mordercy.

* * *

Wjeżdżając do Clayton Heights, zwolniłem. Zwróciłem uwagę na biegające boso po ulicy dzieciaki. Miały brudne ubrania, a ich skóra aż lśniła od potu. Był mglisty letni dzień, promienie słońca przeciskały się przez prześwity w chmurach. Ponuro i gorąco. To był ten rodzaj upału, który zmusza ludzi do wyjścia na zewnątrz i przesiadywania na schodkach przed domami, ponieważ zamontowane w oknie klimatyzacje nie dawały rady lejącemu się z nieba żarowi.

Ulica stanowiła mieszaninę zaniedbanych domów i sklepów. Domy ogrodzone były drucianą siatką, a przed sklepami znajdowały się małe parkingi z zielonymi wyspami przebijających się przez beton chwastów. Wszystko to stanowiło osobliwe połączenie części handlowej z mieszkaniową, jakby troska władz hrabstwa o zagospodarowanie przestrzenne kończyła się dosłownie tuż przed tą dzielnicą.

Tutejsi ludzie byli przyzwyczajeni do ustalonego w dzielnicy porządku, który poniekąd wspierali. Grupa starszych kobiet o zmętniałych z wiekiem twarzach i zaćmą w oczach patrzyła na odbywający się na rogu ulicy handel narkotykami. Nie tylko urbaniści zapomnieli o tym miejscu – policja także. Jacyś faceci tak po prostu w biały dzień na chodniku wymieniali niewielkie woreczki na zwitki banknotów, nie dbając o to, że ktoś może ich zobaczyć.

Wynająłem samochód, zamiast przyjechać własnym. Dzięki temu nie musiałem się martwić, że po wyjściu z domu pani Day odkryję, że skradziono mi opony. A gdyby tak się stało, po prostu wypożyczyłbym kolejne auto.

Dom Rainey znajdował się w samym środku dzielnicy, na jego ścianie widniał niewielki numer. Budynek, który kiedyś był pomalowany na śnieżnobiały kolor, teraz specyły brązowe smugi. Wjechawszy na piaszczysty podjazd, zauważyłem, że na sąsiedniej działce rosły tylko chwasty i widniał fundament domu. Spalone drewno zaśmiecało działkę, która zapewne została opuszczona jak tylko wywieziono resztę konstrukcji.

Przyczyna pożaru mogła być naprawdę różna: laboratorium metamfetaminy, farelka, nieostrożny palacz, który zasnął z papierosem. Sądząc po wypalonym kręgu otaczającym fundament z cementowych bloków, dom spalił się niedawno.

Gdy podchodziłem do werandy domu, gdzieś w oddali szczełkał pies. Drzwi otworzyły się, zanim zdążyłem zapukać. Rainey Day spojrzała na mnie jasnymi niebieskimi oczami, które były absolutnie oszałamiające. To był ten typ urody, który sprawia, że człowieka aż zatyka – oczy duże i błyszczące od oświetlających je promieni słońca.

– Ty pewnie jesteś Justin... przepraszam – urwała, kręcąc głową. – To znaczy pan Redding. Do naszej rozmowy pasuje chyba bardziej oficjalny ton, prawda?

Nie było mowy, żeby ta dziewczyna była morderczynią. Nie z tak uległą postawą. Pytanie brzmiało: jak, u diabła, przeżyła?

– Nasza rozmowa nie jest rozmową pracodawcy z pracownikiem. Nie zatrudniam cię ani nie oceniam twojej pracy.

Posłałem jej uśmiech profesjonalisty i podałem rękę na powitanie.

– Mów mi Justin. Pan Redding to mój ojciec.

Odwzajemniła uśmiech i ucisnęła mi rękę. Jej dłoń była cieplejsza niż się spodziewałem, a palce miała niezwykle delikatne. Ściskając je odrobinę za mocno, można by zmiażdżyć kości. Delikatność. Żadne inne słowo nie mogło jej trafniej opisać.

– Lepiej wejdź. – Zapraszającym gestem machnęła ręką. – Sąsiedzi już się gapią. To wścibscy skurwiele, którzy nienawidzą obcych.

Przechylając się lekko w prawo (wciąż oszczędzała lewą część ciała, tak jak to zauważyłem na nagraniu), Rainey spojrzała znacząco na mój samochód, po czym wyprostowała się i spojrzała na mnie.

– A tutaj jesteś zdecydowanie postrzegany jako obcy. Ale nie bierz tego do siebie. Tutaj zawsze ktoś kogoś obserwuje. Rano, w południe i w nocy.

Obróciłem się i spojrzałem na nowy model czterodrzwiowego sedana. Był biały i zwykły, bez żadnego efekciarstwa. Nie miał GPS-a ani radia satelitarnego. Standard typowy dla wynajętego samochodu.

– To normalne. – Kiedy nasze spojrzenia się spotkały, obdarzyła mnie uśmiechem.

– Do tego miejsca pasuje tylko motocykl albo kopający rękę. Wejdz. – Przeszła przede mną, zgarnęła ze stołu jakieś porozwalane rzeczy i rzuciła je na krzesło. Bardziej przełożyła bałagan, niż go sprzątnęła. Moja obecność wyraźnie sprawiała, że była zdenerwowana.

Przyglądając jej się przez chwilę, zauważyłem, że jest niewysoka. Nie niska, bardziej przeciętnego wzrostu i chociaż była drobnej postury, nie była przeraźliwie chuda. Miała kobiece krągłości. Jej skóra była nieskazitelna poza obrażeniami z feralnej imprezy i tym, co znajdowało się w zgięciu lewej ręki. Nadal nie mogłem rozszyfrować, co to takiego.

Jej biodra przyjemnie się kołysały podczas ruchu. Miała na sobie dżinsowe szorty, obcięte tak wysoko, że było widać pośladki, i koszulę, która – tak, od razu to zauważałem – była wystarczająco cienka, by zauważyć brak stanika.

Wyglądało na to, że Rainey Day nie wstydzi się swojego ciała. Nie żeby powinna. Miała w sobie coś pociągającego, coś surowego, pierwotnego i sensualnego. Była typem dziewczyny, której mężczyźni pragną, choć sami nie wiedzą dlaczego. Uwodziciel-

ska w sposób tak naturalny i bezwstydnym, że patrząc na nią, myślało się tylko o jednym.

– Też jesteś detektywem? – W realu jej głos był jeszcze bardziej zachrypnięty. Hipnotyczny ton sprawiał, że chciało się słuchać wszystkiego, co miała do powiedzenia. Na szczęście zajmowałem się przede wszystkim słuchaniem.

– Nie, jestem adwokatem, przydzielanym ofiarom przestępstw.

Zaprowadziła mnie do małego salonu, usiadła na kanapie i wskazała mi krzesło naprzeciwko niej. Usiadłem, a ona wyjęła paczkę papierosów.

– Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko? – Pokręciłem głową. Rainey zapaliła papierosa, wypuściła dym ustami i zaczęła studiować sufit. – Adwokat to wymyślne słowo.

– Po prostu oznacza, że jestem po twojej stronie. Jestem psychologiem. Z tego, co mi wiadomo, doświadczyłaś czegoś traumatycznego.

Jej śmiech był tak zachrypnięty jak głos, poza tym szczerzy i swobodny.

– Będziesz musiał używać mniej wyszukanych zwrotów, doktorze. Nie jestem tak bystra, na jaką wyglądam.

Rainey zdecydowanie nie wyglądała jak naukowiec, raczej jak bezradna dziewczynka.

– Od jak dawna mieszkasz w Clayton Heights?

– Od pięciu lat – powiedziała, wypuszczając kolejny kłęb dymu. Strzepnęła popiół z papierosa do kubka, który stał na stole obok niej.

– Ile masz lat?

Uniosła brwi, kierując wzrok w stronę teczki na moich kolanach.

– A nie masz tam wszystkich informacji na mój temat?

– Chciałbym to usłyszeć od ciebie. – Musiałem wyciągnąć od niej tyle, ile się dało. Ta dziewczyna posiadała wszelkie informacje odnośnie do tego, co wydarzyło się w tamtym domu, kiedy zginęli jej przyjaciele.

Wzruszyła ramionami.

– Mam dwadzieścia dwa lata.

Co oznaczało, że przeprowadziła się tutaj, mając siedemnaście lat. Taka młoda w tak niebezpiecznej części miasta.

– Co się stało tamtej nocy, kiedy zginęli twoi przyjaciele?

Rainey jak do tej pory była szczera, otworzyła się przede mną. Zadając jej to pytanie, miałem nadzieję, że tak zostanie. Zamiast tego zamknęła się. Siedziała z pochyloną głową, zaciskając usta na koniuszku papierosa i zaciągając się nim. W końcu odpowiedziała, albo raczej słowa same wyszły przez jej usta.

– Nie jestem pewna.

Westchnąłem i stuknąłem palcem w teczkę.

– Nie jesteś pewna, bo nie pamiętasz, czy...

– Nie jestem pewna, bo mam w głowie mętlik. Zostały mi same strzępy wspomnień z tamtej nocy, pieprzony mętlik, rozumiesz? – Machnęła ręką. Bezwiedny odruch. – Totalna rozsypka.

Nie mogłem pozwolić, żeby się rozkojarzyła.

– Nie, pani Day, nie rozumiem.

– Rainey. Pani Day była moją matką.

Uśmiechając się na tę chęć nawiązania bliższego kontaktu, na próbę pożartowania sobie z „przyjacielem”, skinąłem głową.

– Rainey. Przecież wiesz. Musisz mi powiedzieć.

– To długa historia. Nawet nie wiem, od czego zacząć.

Kropelka potu spłynęła jej od linii włosów przy karku do zagłębienia u nasady szyi. Spojrzałem nieco niżej. Mój wzrok powędrował tam, gdzie nie powinien. Podniosłem oczy i natrafiłem na jej spojrzenie. Zauważyła. Jej oczy złagodniały, usta rozchyliły się w lekkim uśmiechu. Odchrząknąłem, zawstydzony, że zostałem przyłapany na gorącym uczynku.

Ta kobieta to utrapienie każdego mężczyzny. Być może myliłem się, od razu zakładając, że była ofiarą. Zastanawiałem się, czy tamci dwaj śledczy mieli ten sam problem i czy wezwali

mnie, bo nie mogli przestać wędrować wzrokiem po zakazanych miejscach na jej ciele. Rainey wypuściła kłęb dymu, którego mały pierścień zawisł nad jej głową.

– Może zacznij od początku – dodałem chrapliwym głosem.
– Jak trafiłaś na tamtą imprezę? Jak długo znałaś się ze swoimi przyjaciółmi?

Zamykała się coraz bardziej, jej ciało dosłownie się zwijało. Gasząc papierosa w kubku, odparła bez patrzenia mi w oczy.

– Nie jestem pewna, czy byli moimi przyjaciółmi.

Zamiast coś powiedzieć, milczałem. Pozwoliłem jej przetworzyć myśli. Kiedy ponownie na mnie spojrzała, jej usta wykrzywiły się w tajemniczym uśmiechu.

– Zaczęło się od dnia, w którym przeprowadziłam się z mamą do tej dzielnicy. Myślę, że wtedy był początek wszystkiego.

– Gdzie jest teraz twoja mama?

– Nie żyje – oznajmiła bez cienia smutku.

– Wokół ciebie jest wielu martwych ludzi, Rainey.

– Każdy kiedyś umrze, niektórzy wcześniej niż inni.

To, co powiedziała, było dziwne. Trzeba będzie to zgłębić. Ale póki co, ten wątek będzie musiał poczekać. Na razie musiałem wziąć tyle, ile mi da. Coś przykuło mój wzrok: znowu dotknęła znamienia w zagięciu ręki. Przesunęła po nim palcami, a ja w końcu mogłem go zobaczyć. Pięć kresek, jakby coś odliczała.

Dlaczego pięć? Co było na tyle ważne, żeby wyryć sobie pięć kresek na skórze?

– Więc zacznijmy od początku.

Kolejny uśmiech.

– Doktorze, myślę, że powinnam cię ostrzec. Jestem trochę zdiurowata. Ta historia... – Zamknęła oczy i zaraz je otworzyła.
– Ta historia nie przedstawia mnie w zbyt dobrym świetle. Nie jestem taka jak te wszystkie porządne dziewczyny, z którymi, jak zakładałam, się umawiasz.

Mimo ogłoszonej samokrytyki nie była zdenerwowana. To było zwyczajne stwierdzenie stanowiące preludium do opowieści.

– Nie jestem tu, żeby cię osądzać, Rainey. Po prostu powiedz mi, co się stało.

Zapaliła kolejnego papierosa, zaciągnęła się głęboko i wypuściła dym. Wbiła wzrok daleko przed siebie i zaczęła mówić.